

Napełnił kubek i niemal od razu doszedł jego nozdrzy bogaty aromat kawy zakupionej na którymś z tych barwnych, przepelnionych egzotycznymi zapachami i rozbrzmiewających kakofonią okrzyków przekomarzania się kupców i klientów, nepalskich targowisk. Ale gdzie to dokładnie było? Próbując to sobie przypomnieć, odtwarzał w myśli drogę, jaką pokonał z Katmandu do miejsca, w którym teraz się znajdował. Oczywiście to było w jednej z tych obwieszonych kolorowymi buddyjskimi flagami modlitewnymi, niezbyt tłocznych, ale jakże urokliwych miejscin, tak charakterystycznych dla całego chyba regionu Tybetu. Czy to było w Bandipur? Albo gdzieś wcześniej, może w Benighat? W każdym razie na pewno to było coś na „B”. Ilekroć bywa w Nepalu, czuje się tu jakoś dziwnie odrealniony. Tutejszy klimat orientu, jaki otacza, obłapia i w końcu wręcz okleja sobą przybysza ze Starego Kontynentu jest tak swoiście gęsty i odmienny, że zdarzenia zaledwie sprzed kilku czy kilkunastu dni zdają się być jakimś marzeniem sennym, które gdzieś tam głęboko w głowie domaga się, by uznać je za przeżyte na jawie.

Kawa odparowała i wystygła bardzo szybko. Marcel dopił ją trzema szybkimi łykami, po czym wyskoczył ze śpiwora i wbił się w jednoczęściowy kombinezon, na zakup którego w zeszłym roku wydał całkiem spory majątek. – Jeśli dziś pójdzie dobrze, to następny już będzie od sponsora – pomyślał. I to postanowienie z jednej strony podniosło w nim i tak już wysoki poziom mobilizacji, lecz jednocześnie dopadło go uwierające niczym kamień w bucie poczucie winy – Drań ze mnie. Ile to już razy obiecałem Reni, że ta wyprawa będzie ostatnią? Dwa tygodnie temu obietnica brzmiała niemal tak samo, jak te wszystkie powtarzane niezliczoną ilość razy wcześniej. A ja już myślę o

kolejnej wyprawie – skarcił sam siebie. W gruncie rzeczy wiedział, że Renata już dawno przestała brać na serio te jego zapewnienia. Dobrze wiedziała z kim się wiąże i czym jest dla niego wspinanie. Odrzucił te myśli, uznając, że nie czas teraz na rozkminianie tego typu rozterek. Klepnął kilkukrotnie mocno dłońmi w uda aby się rozgrzać i przystąpił do sprawdzenia sprzętu. W głowie przebiegała mu lista do odhaczenia: rękawice, druga para rękawic, gogle, zapasowe gogle, czapka na głowę, czapka do plecaka, osłona na twarz i nos, dwa wyczynowe czekany, lina... Wiedział, że potrzebuje około osiemdziesięciu metrów własnej lekkiej liny. Szedł sam, więc musiał bardzo rozważnie podejść do kwestii tego, czym wypełni plecak. Poza tym wchodził uczęszczaną i już wcześniej zaporęczowaną drogą, dzięki czemu mógł liczyć na pracę wykonaną w tym zakresie przez poprzednie ekipy. – Teraz gadżety – mruknął pod nosem. Wyjął z plecaka mały pakiet i sprawdził jego zawartość. Wypasiony tracker GPS od Garmina z baterią na full przypiął sobie z lewej strony do pasa obok czekana, a dwie baterie zapasu powędrowały do jednej z kieszeni plecaka razem z zapasowymi ogniwami do czołówki i pancerną komórką. Musiał zredukować ilość i masę targanych ze sobą rzeczy, dlatego postanowił, że jego niezniszczalny smartfon w zupełności wystarczy do udokumentowania zdobycia szczytu, a dodatkowy sprzęt fotograficzny byłby w tym przypadku jedynie zbędnym balastem. Wygładził na stopach ocieplane skarpety, założył śniegowce i czapkę, nasunął na głowę kaptur kombinezону, na który wreszcie założył kask z czołówką. Jej działanie też oczywiście wcześniej sprawdził. Wstał, zapiął termos z gorącą herbatą, podliczył zapas batonów energetycznych i mógł wychodzić. Wewnątrz namiotu ustawił jeszcze latarkę z nastawionym

pulsującym co kilka sekund światłem. Jeśli dotrze z powrotem na to stosunkowo rozległe i strome pole już po zmroku, a tracker nie namierzy jego lokalizacji wystarczająco dokładnie, światło to pomoże mu szybko odnaleźć jego namiot. Ostatni rzut oka na pozostawianą właśnie stosunkowo bezpieczną przystań na tym morzu zmrożonej bieli i w drogę. – Do zobaczenia za jakieś 15 godzin – rzucił nie wiadomo do kogo. Na lekkie rękawice, które miał założone od wybudzenia się nałożył teraz grube i ciepłe rękawice śniegowe i wyszedł, zasunawszy za sobą wejście namiotu.

- Jyotile mala'i dorya'una dinuhos, ra mero pachadiko khadalale mala'i dabi gardaina – wyszeptał z zamkniętymi oczami, trzymając w prawej dłoni zawieszony u szyi na rzemieniu kiel pantery śnieżnej, który otrzymał od pewnego Szerpy jako swoiste wotum dziękczynne. „Sprawcie, by prowadziło mnie światło, a czeluść pozostawiona za mną niech się o mnie nie upomni” – bezgłośnie wypowiedział w myślach tę cichą modlitwę, ledwo tylko poruszając przy tym ustami. Dawno temu podczas jednej z podobnych wypraw pomógł owemu Szerpie zwlec się ze ściany po oberwaniu się seraka i przetoczeniu ponad ich głowami bryły lodu wielkości TIR-a. Było blisko, cholernie blisko, by tamta wyprawa definitywnie zakończyła jego pasję. I wszystko inne zresztą też, włącznie z tymi jego niepewnościami, wątpliwościami, obawami i całą masą taszczonych przez życie kompleksów. Paradoksalnie uważał się za kogoś, kto trzeźwo stąpa po ziemi i nie jest przesądny, ale jakoś nie miał ochoty pomijać tego własnego, wymyślonego na podobne sytuacje rytuału przy wyjściu do ataku szczytowego. Zwłaszcza na ten konkretny szczyt i zwłaszcza teraz, kiedy jest tylko on i Góra. No i wołał wypowiadać te słowa w języku tutejszych

bóstw opiekuńczych, ponieważ nie miał pewności, czy poproszone o to samo w skądinąd pięknej i godnej bogów mowie rodzimych wieszczów, będą owe bóstwa wiedzieć o co je prosi i jakie postulaty niniejszym kieruje pod ich adresem, zwracając się do nich za pomocą tych przesadnie dźwięcznych, szeleszczących polskich zgłosek.

Na zewnątrz wciąż panowała szarówka. Szlak był zasypany starym, zwietrzałym, ale też świeżo nawianym śniegiem i dość stromy, lecz podłoże tutaj pozostawało skaliste. Nie musiał się w tym miejscu obawiać szczelin, jakich zawsze należy się spodziewać, gdy przemierza się pole lodowca. Za to lawina to w takim miejscu całkiem realne zagrożenie. Dlatego zdecydował się na ostrożnie przejście trawersem w kierunku pobliskiej grani po jego lewej, oddalając się od zasypanego luźnym śniegiem żlebu, którego dno niknęło w cienistym mroku poniżej.

Wiedział, że zrobi najsensowniej, jeśli będzie zmierzać ku kopule szczytowej tak długo jak się tylko da linią tej właśnie grani. Odtworzył w głowie profil i topografię podejścia: po zakończeniu trawersowania zacznie się pięć w stronę kopuły szczytowej. Stromizna będzie tu w miarę jednorodna, ale w którymś momencie będzie musiał znowu strawersować – i będzie to kolejny trawers na lewo – w stronę kuluaru roztaczającego się w głębi północnej ściany, by ominąć znajdujący się tuż powyżej serak – gargantuiczne, niestabilne nagromadzenie gigantycznych brył odrywających się od lodowego pola, jakie rozciąga się nieco poniżej kopuły szczytowej. Na samej zaś kopule szczytowej nachylenie będzie osiągać nieco ponad trzydzieści stopni, ale na końcu

wspomnianego kuluaru, przed wejściem na tę kopułę, czeka go jeszcze przejście niemal osiemdziesięciometrowym pionowym „kominkiem” – najtrudniejszym technicznie odcinkiem podczas tego wejścia. Na szczęście Marcel jest w formie i to czuje. Ma aklimatyzację osiągniętą przed niespełna miesiącem na sześćtysięczniku, który zdobył na wyprawie zespołowej z kolegami z klubu wysokogórskiego. Głowa trzeźwa, w płucach nie rzezi, mięśnie, stawy i kości da się już co prawda trochę odczuć, ale w normie... Z tej strony wszystko gra. Pozostaje tylko ostatnia i najistotniejsza kwestia techniczna: stan poręczówek w kominku.

Sprawdził wcześniej, że w tym roku wchodziła tą samą drogą przed nim jedna wyprawa, a w poprzednim roku trzy. Zwykle kolejne przechodzące wyprawy nie zwijają po sobie tego typu pamiątek – niewiele to warte, a po zdobyciu celu myśli się już tylko o jak najszybszym zejściu do bazy. Nie udało mu się niestety dowiedzieć, czy tegoroczna ekipa zaporęczowała samodzielnie, czy też wykorzystwała wcześniejsze liny. – Jeśli te liny będą w dobrym stanie w całym przebiegu kominka, będzie mniodzio. Ale na scenariusze tak pozytywne nigdy lepiej się nie nastawiać – uznał racjonalnie. Realnie podchodząc do sprawy powinien zakładać, że będzie trzeba sztukować, dlatego te czterdzieści metrów jego własnej liny powinno spokojnie wystarczyć. W zasadzie to będzie musiało wystarczyć, bo tylko tyle jej ma. Zasadnicza redukcja problemu nastąpi w chwili, kiedy okaże się, że wcześniejsze poręczówki w ogóle nie nadają się do wykorzystania. Wtedy zostanie mu jedynie kurewsko rozczarowujący odwrót i bye-bye, Góro... Ale to było tak samo mało prawdopodobne, jak to, że te znajdujące się już na miejscu poręczówki będą w pełni gotowe do

wykorzystania. No i z tego ubiegłorocznego wchodzenia innych ekip zapamiętał jeszcze nazwisko włoskiego himalaisty, który został na zawsze na tej Górze. Zespolił się w nią w jedno. Na zawsze.

Torował w głębokim śniegu powoli i w skupieniu. Idąc krok za krokiem po stromiźnie ku grani, podpierał się naprzemiennie styliskiem czekanów trzymanyh w obu dłoniach. Wokół zdążyło się już rozjaśnić na tyle, by mógł podziwiać widok roztaczający się z tej wysokości. Kilkaset metrów pod sobą dojrzał namiot, odcinający się śmiesznie drobną plamką jaskrawej czerwieni rzuconej na stanowiącą tło wielką, pofałdowaną płaszczyznę. Wszystko w jego polu widzenia było niemal absolutną bielą, przeplatającą się z szarością cienia oraz tu i ówdzie poznaczoną ciemnymi liniami odsłoniętych grani, poszarpanymi tak, jakby namalowała je ręka jakiegoś zneurotyzowanego malarza. Wielka, falująca nieruchomo, a w niektórych miejscach dodatkowo wypiętrzona strzeliście biel. Nisko zawieszone słońce wydobywało i uwydatniało każdą, najmniejszą nawet nierówność terenu, przez co krajobraz zdawał się być jeszcze bardziej niegościnnie, zdradliwy i niebezpieczny, jakby to w ogóle było jeszcze możliwe. Zimne, surowe, mordercze piękno – jak określają to ludzie tacy jak on – majestatyczne i nieokiełznane. Wabi swym urokiem, usidla, samo pozostając niewzruszonym na zachwyty przybyszy z kompletnie innego świata.

W pewnym momencie uświadomił sobie, że niebezpiecznie odkleił się od rzeczywistości. Zebrał z powrotem do kupy całą swoją koncentrację, kierując ją ponownie na spokojny, miarowy rytm marszu ku coraz już bliższej krawędzi

grani. Kiedy w końcu do niej dotarł, odetchnął z ulgą. Ryzyko przypadkowego podcięcia lawiny zostawił już za sobą. Przynajmniej na tym etapie drogi. Postanowił chwilę odpocząć i posilić się batonem energetycznym, popijanym kilkoma łykami herbaty. Na tej wysokości tlenu jest tak mało, że organizm przechodzi na awaryjny tryb jego dystrybucji według zapotrzebowania najważniejszych organów ciała. Ludzki organizm sam automatycznie przełącza się na tryb o nazwie „Misja: Przeżyć”. Najwięcej tlenu pobiera oczywiście głowa, niemal całą resztę dostają mięśnie i stąd na wszystko inne nic już nie zostaje. Wskutek tego człowiek w zasadzie przestaje tutaj trawić pokarm. Co prawda redukuje to niemal do zera problem wystawiania gołej dupy na mróz w celu wypróżnienia, ale jednocześnie sprawia, że jeśli jest potrzeba zjedzenia tu czegośkolwiek, to jedyną sensowną odpowiedzią na tę potrzebę może być tylko coś słodkiego. Coś, co da się od razu przerobić na energię, czyli dużo cukrów prostych popijanych jeszcze większą ilością wody. Bo o katastrofalne w skutkach odwodnienie przy tym poziomie wysiłku fizycznego na takiej wysokości łatwiej niż o złapanie kiły w wąskich zaułkach Thamelu. Z tego też powodu czas, jaki można spędzić na tak dużej wysokości jest ograniczony do zaledwie kilkudziesięciu godzin i to pod warunkiem, że ma się aklimatyzację.

Spojrzał na zegarek ukryty pod wzmocnionym ściągaczem rękawa kombinezonu. Droga od namiotu dotąd zajęła mu blisko cztery godziny. – Sporo – pomyślał. To powinno mu zająć nie więcej niż trzy. Na najłatwiejszym odcinku Marcel był godzinę w plecy. Wyżej nie nadrobi już tego. Czas zabiera ze sobą wszystko, zawsze odpływając w tę samą stronę: ku przeszłości. I tym samym pozbawia przyszłość pewności, odzierając z niej ową przyszłość z

brutalną w swojej istocie, metodyczną skrupulatnością: sekunda po sekundzie, minuta po minucie... Porzuciwszy jednak te metafizyczne rozważania, ponownie ruszył wzdłuż grani. Tutaj przynajmniej skała była wolna od kopnego śniegu, ale wiedział, że stromizna nie pozwoli mu iść szybciej niż szedł dotąd. Wraz ze zdobywaną wysokością będzie miał coraz mniej tlenu do dyspozycji, a zmęczenie będzie narastać i ta okoliczność raczej go jeszcze bardziej spowolni na podejściu pod sam kominek. Jeszcze tylko ten jeden trawers w stronę kuluaru – żlebu rozdzielającego dwie pobliskie granie. Potem znowu trochę wspinania i wreszcie kominek. To będzie ostatni sprawdzian, jakiemu podda go Góra by się upewnić, że jej zdobywca jest godzien postawienia stopy na jej szczycie. Kiedy już go przejdzie, pozostanie mu jeszcze do pokonania jedynie kopuła szczytowa i wreszcie będzie mógł usiąść na swoim solidnie już wtedy złachanym dupsku pod oznaczającym sam szczyt Góry kopcem usypanym z kamieni, przybranym wetkniętymi w niego chorągiewkami i proporcami, do których on sam dołoży od siebie jeszcze jedną, którą sam tu ze sobą przytargał.

A potem przez satelitę połączy się z Renią. Nie powie jej skąd dzwoni. Zapewne jak zawsze sama się domyśli, kiedy usłyszy jego głos łamiący się z powodu silnych emocji, towarzyszących zdobyciu szczytu. Podpowiedzią dla niej będzie, tak jak zawsze dotąd, nieznośnie jednostajny świst wiatru w tle. Co jej wtedy powie? Że ją kocha? Nie, raczej nie. Oczywiście, że ją kocha, ale to byłoby zbyt banalne. A on nie zamierza w takim momencie tracić czasu na podobny banał, którym w tej konkretnej sytuacji byłaby rozmowa dwojga fizycznie oddalonych od siebie ludzi o czymś tak niekonkretnym, wymykającym się pojmowaniu i opisaniu ramami twardej kategorii

poznawczych. Powie jej, że bardzo za nią tęskni. I, że choć to głupie, zupełnie fantasmagoryczne i nierealne, to jednak bardzo chciałby, aby właśnie teraz, w tym jednym momencie, przy nim była. Żeby mogła razem z nim poczuć i zobaczyć to co on teraz widzi. I poczuć to, co on teraz czuje. Teraz, tutaj, na górze. Na Górze. No i oczywiście poprosi ją, by w ich ulubionej knajpce zabookowała duży stolik na którąś kolejną sobotę i skrzyknęła całą ich ekipę znajomych na świętowanie. Tam o wszystkim opowie ze szczegółami. Tymi mniej kompromitującymi, oczywiście. Nie zamierza im zdradzać jak na tej wysokości wygląda najzwyczajniejsze, całkiem prozaiczne na nizinach sranie. To będzie przecież na obiedzie w restauracji. Niech więc owe szczegóły zostaną jego tajemnicą. Bardzo niesłodką, ale za to nad wyraz dosłownie waniającą tajemnicą. A to, która to będzie sobota, będzie zależeć głównie od tego, na kiedy uda mu się zdobyć bilet powrotny z Katmandu. No i po części także od tego ile czeka go po drodze przesiadek.

Wolał nie myśleć, jak długo potrwa powrót do Pyrzowic przez Sidney, Dubaj i w końcu Frankfurt. Kiedy tam na górze emocje jako tako już się uspokoją, wyjmie swojego Hammera i zrobi kilka zdjęć, może też nakręci krótki filmik. Wtedy dopiero będzie czas na rozkoszowanie się widokami z myślą o tym, że on tam naprawdę dotarł. I że tam jest. On sam w miejscu, wokół którego wszędzie, gdzie spojrzeć, zionie jedynie przepaść. Wtedy będzie miał na to sporo czasu. Może nawet całe 5 minut, zanim spadająca temperatura powietrza, wiatr, brak ruchu oraz chylące się już ku horyzontowi słońce złączą go powoli przeobrazić w *Homo hibernatus*.

Od podejścia zakończonego kominkiem dzielił go jeszcze trzystumetrowy trawers ścianą północno-zachodnią do wnętrza kuluaru. Podłoże było tu zdecydowanie bardziej zmarznięte. Przemieszczając się po nawierzchni zbudowanej z wielu warstw zmrożonego śniegu, Marcel musiał wręcz wbijać raki w częściowo zlodowaciały grunt, by stabilizować swoje podparcie na ostro nachylonym stoku. Kątem oka dostrzegł znajdujące się jakieś dwadzieścia, może trzydzieści metrów poniżej i lekko w prawo od jego pozycji, wystające spod śniegu, zębiaste i postrzępione erozją rumowisko skalne. – Muszę to sobie zmapować – orzekł stanowczo – może mi się to przydać jako pomoc przy orientacji w terenie na powrocie, jeśli pogoda się pogorszy. Lata szwędania się po górach nauczyły go, że należy wbić sobie do głowy topografię terenu wokół szlaku z map dostępnych w przepastnych archiwach klubów wysokogórskich, w internecie oraz z relacji innych wspinaczy. A będąc już bezpośrednio na szlaku trzeba zwracać uwagę na wszystkie charakterystyczne elementy krajobrazu, mogące posłużyć do zorientowania się w terenie w przypadku utraty orientacji. Taka utrata orientacji zawsze może się przytrafić w sytuacji pogorszenia widoczności, o co w Himalajach na siedmiu tysiącach metrów wcale nie tak trudno.

Szedł zatopiony w myślach. Każdy krok przybliżał go do najtrudniejszego etapu tej wspinaczki, dlatego coraz uporczywiej odzywała się obawa przed stanem poręczówek w górnej partii kuluaru na podejściu do kominka. Czy będą zdadne do wykorzystania? Czy będzie mógł bezpiecznie się w nie wpiąć? Prowizorycznym, ale w tej sytuacji jedynym zabezpieczeniem dodatkowym będą czekany związane przedłużoną liną do jego uprząży. To

będzie musiało wystarczyć. – Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana – przypomniał sobie stare przysłowie giełdowych spekulantów. Lekkoduszne branie tej maksymy za dobrą monetę zapewne wielu z nich doprowadziło już do bankructwa. On natomiast grał o znacznie wyższą stawkę.

Sunąc powoli bokiem przez silnie nachylony już w tym miejscu stok, wbijał w niego lewy ręk, po upewnieniu się, że wklinał się on stabilnie, przenosił na niego podparcie, po czym nieco na lewo ponad głowę wbijał lewy ręk, asekurując w ten sposób wycofanie prawego raka, który chwilę później wkopywał w twarde, oblodzone podłoże obok lewego, by zakończyć cykl przełożeniem i wbiciem po prawej nad swoją głowę prawego rękana. I tak w kółko. W żmudnej, wydawało by się, że nieskończenie zapętlonej rzeczywistości. – W tym nie ma za grosz romantyzmu wspinania – poskarżył się sam do siebie, zasapany od wysiłku.

Po całej – jak mu się zdawało – wieczności tego pełzania zauważył jakby stok stopniowo tracił swoją stromiznę. Zaczęło się wypłaszczać, choć jednostajna biel otaczającej go przestrzeni nie pozwoliła mu na wzrokowe potwierdzenie tego spostrzeżenia. Nagle usłyszał lekki, stłumiony wiatrem trzask, który powoli przeszedł w narastający szum. Właściwie zmroził go sam ten pierwszy dźwięk, błyskawicznie jeżąc mu włosy na głowie z zupełnym pominięciem świadomości. Słyszał ten dźwięk wielokrotnie w trakcie szkolenia wysokogórskiego, kiedy zapoznawał się z materiałami audiowizualnymi nagranyymi przez ludzi, którym kiedyś w trakcie wspinania przydarzyło się to samo gównu, w które on wpadł po same uszy właśnie w tym cholernym

momencie. Wiedział, że oto doświadcza sytuacji ze swoich najczarniejszych koszmarów i że zostały mu sekundy. Stał wbity czterema punktami podparcia w otaczającą go biel, a mimo to wyraźnie czuł, że się przemieszcza i jakoś przedziwnie zaczyna tracić na wadze, z sekundy na sekundę stając się coraz lżejszy. Ponad miarę obciążone podłoże nie wytrzymało naprężenia ledwo utrzymywanego pod własnym ciężarem, dlatego wejście Marcela w ten rejon stało się kroplą, która przelała dostatecznie wezbraną już rzekę. Skończyło się tak, jak w tej sytuacji musiało się skończyć, czyli oderwaniem się od podłoża kilkumetrowej deski śnieżnej. Teraz, mając żołądek ściśnięty zimnymi, stalowymi szczękami imadła strachu, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył, Marcel sunął wraz z tą deską w nicość zakończoną poszarpanym rumowiskiem skał, leżącym grubo ponad kilometr pod nim.

Zegar w jego głowie zwolnił. Marcel obserwował teraz swoje otoczenie jak na zwolnionym filmie. Szybko przekalkulował, że do tej pory musiały minąć jakieś cztery sekundy od oberwania się niestabilnego podłoża, na którym akurat się znalazł. A zatem pozostały mu dwie, góra trzy sekundy na zrobienie czegokolwiek. Choćby czegoś rozpaczliwie desperackiego, by przynajmniej spróbować powstrzymać nieuchronnie zbliżający się finał. Błysk myśli niczym flesz z aparatu. – Rumowisko u dołu po prawej! Za chwilę się z nim zrównam! – wyrwał ze zmrożonego podłoża prawy czekan, po czym wyrzucił go na oślep w stronę poszarpanych skał, które zapamiętał wcześniej jako charakterystyczny punkt do nawigowania przy zejściu. Z bezbrzeżną rozpaczą w oczach i strachem ściskającym trzewia obserwował, jak przedłużona lina przywiązana do wyrzuconego w bok czekana i zamocowana drugim końcem do uprząży

opasającej zawinięte w kombinezon, bezwładne teraz, choć wciąż całkiem żywe jego własne ciało, snuje się za nim niczym serpentyna, rozwijając kolejne zwoje. Kiedy w końcu dostrzegł, jak pikujący teraz czekan wpada i klinuje się między zrębami mijanych właśnie, pobliskich skał, film przyspieszył. Marcel modlił się w duchu, by przeciążenie w chwili naprężenia liny nie zerwało jej, nie złamało czekana ani nie wykruszyło skały. Bo drugiej próby nie będzie. Chwilę później poczuł dokładnie to, czego się spodziewał i na co desperacko liczył: końsko mocne, odbierające dech w piersi szarpnięcie uprzęży, które rzuciło go z wielką siłą o sunące w dół razem z nim podłoże.

Owo szarpnięcie natychmiast wyczepiło zerwaną deskę śnieżną spod jego raków, boleśnie przeciążając kolana i stawy skokowe obu nóg, by w końcu z cichnącym szelestem, lecz niesłabnącym przyspieszeniem, osunąć się w nicość i roztrzaskać niemal półtora kilometra niżej w całkowicie ciszy. Uderzenie plecakiem o podłoże wycisnęło z jego płuc całe zgromadzone tam powietrze. Pomimo tego, albo raczej właśnie przez to, nie był w stanie nabrać tchu przez całe kolejne kilka sekund. Kompulsywnie walczył o choćby jeden haust powietrza, wywalając na wierzch gały i łapczywie rozdziawiając przy tym usta – niczym sum, którego wędkarz zdjął właśnie z haczyka u swej wędki i rzucił tak ot, od niechcenia, w trawę tuż przy wiaderku z zanętą.

Wreszcie spazm paraliżujący przeponę ustał i oddech powrócił. Z początku szarpany i urywany, w końcu stopniowo się uspokoił i znowu stał się wyrównany i regularny. Wstrząs oraz stres, jakich doznał Marcel, pozbawiły jego organizm ostatnich rezerw. Nie czuł nic, poza wszechogarniającym go

teraz spokojem. Żył, a jeszcze niespełna pół minuty temu nie postawiłby na to choćby nawet paczki jego ulubionych wafli „Familiijnych” o chałwowym nadzieniu. Czarno-biały świat wokół stopniowo tracił kontrast. Krawędzie obrazu zaczęła ogarniać powiększająca się winieta, a samo jego centrum stawało się coraz mniej ostre. Szum wiatru stracił wyrazistość, aż w końcu Marcel całkowicie stracił świadomość.

Nie był w stanie określić ile czasu minęło od tego omdlenia, ale kiedy się ocknął, wiedział już, że czekan tkwi dokładnie tam, gdzie powinien, lina wygląda na nieuszkodzoną, wszystkie kończyny wciąż ma całe, a limit farta wyczerpany chyba do końca życia. Oby jak najdłuższego życia. I najlepiej zakończonego niespiesznie, w zdrowiu ciała i umysłu. I we własnej, czystej pościeli, ma się rozumieć. Czuł się dziwnie, jakby lekko euforycznie. Nie był w stanie uregulować ostrości widzenia, a szum wiatru to się od niego oddalał, jakby nikał w studni, to się znów przybliżał. O dziwo – nie czuł w związku z tym żadnego niepokoju. A na domiar wszystkiego zrobiło mu się jeszcze tak przyjemnie ciepło...

Leżąc tak na plecach, spojrzął w niebo. Było tak nierealnie blisko. Uczył się w trakcie lekcji geografii w ogólniaku, którą z benedyktyńską wręcz cierpliwością w jego szkole wykładał Pan Benedykt - wiekowy już kuternoga w okularach niczym denka od butelek, że *stratusy* to chmury niskiego piętra. Nad nimi roztaczają się *altusy*, a kompletny wystrój nieba wieńczą *cirrusy*, które są najwyższą partią chmur. Cirrusy potrafią sięgać pułapu przelatującego liniowca

pasażerskiego. A teraz to on, Marcel, wyciągając rękę w stronę przesuwających się obok niego kłębow skondensowanej pary wodnej, był właśnie na wysokości typowej dla cirrusów. O ja pierdołę... Jestem samolotem... - wybełkotał z głupim, dziecięcym bananem na twarzy.

– Marcel! Maaarcel!!! Na litość boską! Wstań na nogi dzieciaku przesłodki, bo tyłek sobie odmrozisz i jeszcze wilka jakiego złapiesz! – dotarło do niego jakby zza pobliskiej grani. Zwolnił chwilowo bezużyteczny w tym momencie lewy czekan, który zawisł mu u nadgarstka, by obmacać ręką kask. Był cały. To, co pod kaskiem, też po pobieżnym sprawdzeniu wyglądało na całe. W każdym razie nie bolało, a na rękawicach nie było śladu czerwieni. – What the fuck?! Skąd ona się tutaj wzięła...? – zapytał sam siebie, rozglądając się wokół, zdumiony realnością tych omamów. – Tośki byś lepiej przypilnował, zamiast tym swoim chudym dupskiem orły w śniegu wygniatać! Wiesz przecie, jak nosi wszędzie tą naszą kruszynę!

Spojrzał w stronę, z której, jak był przekonany, nadeszło wołanie. Ale nie dostrzegł tam niczego poza migoczącymi cieniami. Przez chwilę jasność jakby siłowała się z mrokiem, obraz przed oczami zaczął migotać, aż w końcu Marcel ponownie stracił przytomność.
